

# MATEUSZ BANDURSKI

## Łaps

– Dobry wieczór, Sykstusie.

Kiwnąłem głową na powitanie, nie opuszczając nóg, opartych wygodnie o barierkę ganku. Patrzyłem nieruchomo na pomarańczowe słońce, chowające się z wolna za zniszczone czubki moich butów. Wielebny Marsh przestąpił z nogi na nogę i odchrząknął.

– Widzisz, burmistrz prosił mnie, żebym do ciebie zajrzał. Chciałbym porozmawiać z tobą na temat pewnych rozterek moralnych...

Prychnąłem.

– Rozterek... To dobre...

– Dotyczących... tego czynu... – Próbował mówić dalej, niezrażony, dobierał w myślach jakieś okrągłe, gładkie słowa.

Wyprostowałem się na fotelu, obcasy łomotnęły o deski, a wielebny lekko podskoczył i przerwał.

– Tego mordy z zimną krwią, jakiego mam dokonać na tym człowieku w majestacie waszego prawa?

Marsh cofnął się o krok i wyglądał na równie oburzonego, co przestraszonego.

– To prawo, któremu służysz, Sykstusie. Którego jesteś przedstawicielem. Masz obowiązki wobec tego miasta i jego obywateli, którzy cię opłacają.

Potarłem oczy, zaczerwienione od piekielnego pyłu, którego wszędzie było pełno. Nie padało od trzech tygodni. Drobny, szary kurz osiadał w studniach, wciskał się pod ubranie, czuło się go w jedzeniu, na prześcieradłach i we włosach.

– Moim obowiązkiem było złapanie bandyty, żeby nie zagrażał więcej dobrym obywatelom, ich żonom i córkom. Szczególnie córkom. – Z ponurym zadowoleniem zauważyłem, że się czerwieni. – Reszta należy do sędziego. Zresztą nie sądzę, żeby ten człowiek doczekał jego przyjazdu. Umiera.

Pastor już nawet nie próbował udawać, że przybył z misją pocieszycielską.

– To właśnie jest powodem, dlaczego rada miejska wydała wyrok zaocznie. Zbrodnie wymagają kary, przykładowej i publicznej. Jeśli on umrze po cichutku w celi, jaki będzie z tego pożytek?

– Jesteś obłąkany, padre. Wszyscy jesteście.

\*\*\*

Na dworze zaczął już zapadać niebieskawy od upału mrok. Wszedłem do biura i zapaliłem małą lampkę nad biurkiem. Żółtawe światło zabłysło w szklanych drzwiach szafki na broń i wiszącej nad nią mosiężnej tabliczki. Napis, wryty ozdobnymi zawijasami w mosiądzu, głosił:

„Wdzięczni za ochronę, w podzięcie za służbę – mieszkańcy Sabiny”.

Wisiąca tam już, zanim przyjechałem do miasta.

Więzień poruszył się w swojej celi, usłyszałem szelest siennika i westchnienie. Usiadłem za biurkiem, otworzyłem szufladę i, jak leci, zacząłem wrzucać do niej zaśmiecające blat papiery. Same błahostki – raporty o dwóch pijackich bójkach w zeszłą sobotę, kradzieży suszącej się bielizny, spóźnionych alimentach. Sabina nie była stolicą zbrodni.

– Łapsie!

Skończyłem z porządkami i z drugiej szuflady wyjąłem butelkę wódki. Nalałem do blaszanego kubka – tak na dwa palce – i schowałem ją z powrotem. Może choć tu nie dostał się ten cholerny piach.

– Hej, łapsie! Podejdz tu! – Głos bandyty był cichy i z obcym akcentem.

Westchnąłem, wypilem zawartość kubka i, odchyliwszy się na krześle, przekręciłem włącznik światła w celi.

Postrach obywateli, ich żon i córek leżał na pryczy, uniesiony na łokciu, i skręcał sobie papierosa. W słabym blasku osłoniętej drucianym kloszem żarówki jego posiniaczona i obrzmiała twarz lśniła od potu. Zmrużył lekko oczy, kiedy zapaliło się światło, przejechał językiem po bibule i spojrzął na mnie.

– Czego chcesz, Gekon?

– Chcą, żebyś mnie załatwił? Nie będą czekać na sędziego, nie poczekają, aż sam zdechnę, prawda? Milczałem.

Bandyta wsadził skręta między rozbite wargi i wyciągnął rękę w moją stronę, pytająco unosząc brwi. Rzuciłem mu wyjętą z pudełka zapalniczkę, którą złapał w locie, krzywiąc się z bólu wywołanego gwałtownym ruchem. Nieźle go urządzili, zanim nadjechałem.

Gekon potarł zapalniczkę o szew siennika, zapalił papierosa i zaciągnął się z rozkoszą. Ciągłe milczenie, ruchem głowy pokazałem na stojący w rogu kibel. Pożar w celi był ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył. Chociaż... mógłbym nie otworzyć kraty i wtedy miałbym wszystko z głowy – Gekona, radę miejską, posterunek, ale i pewnie moją posadę.

Patrzył na mnie przez płomyk trzymanej w ręku zapalniczki, jakby chciał wyczytać coś z mojej twarzy. Nie odwracając głowy, machnął nagle ręką i zapalniczka zakreśliła łuk, stuknęła o porcelanę i zgasła z cichym syknięciem. Więzień położył się z powrotem na pryczy, paląc. Wyłączyłem światło w celi. Mały punkcik żaru tkwił nieruchomo w ciemności kilka minut, rozjarzając się od czasu do czasu, zanim nie zgasł, zduszony o betonową posadzkę. Wtedy wstałem, przypiąłem pas z bronią i wyszedłem w duchotę i gorąco nocy, która zapadła nad całym światem.

\*\*\*

Dawna chwała Sabiny brała się z ropy naftowej. Koncerny, których nazwy blakną dziś na plakietkach rozwłóconego sprzętu wydobywczego, wyssały spod ziemi każdą kroplę czarnego złota. A potem wyniosły się, zabrawszy wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, łącznie ze snami o majątku i świetlanej przyszłości. Później dwie wojny (w tym jedna domowa), rozpad tego, co jeszcze mogło się rozlecieć, wreszcie stagnacja i beznadzieja stworzyły na nowo to wspaniałe miasto, w którym pełnię zaszczytną funkcję stróża porządku publicznego. Kilka szybów, z których można coś jeszcze wycisnąć, produkuje tylko na potrzeby miasteczka, jego kilku generatorów, trzech rozsypujących się pojazdów terenowych i paru traktorów. Ci, którzy zostali, w większości rolnicy, nie sprawiają kłopotów. Są zbyt zmęczeni, żeby rozrabiać. Dwa bary, cztery sklepy z mydłem i powidłem, restauracja, kilka piwiarni, hotel i więzienie. Czasami, najczęściej w nocy, po rozklekotanych torach przesunie się długi sznur wagonów towarowca. Dawniej, jakby z łaski, stawał nieraz na chwilę przy pozostałościach stacji, żeby zabrać trochę poczty. Teraz najwyżej zwalniają trochę, bo rozjazdy są coraz bardziej przeżarte rdzą. Nieraz z rowu poderwie się czarna figurka i, tuląc do siebie chude zawiniątko, biegnie wzdłuż toczącego się składu, szuka pewnego chwytu, aż wreszcie wskakuje na złącza między wagonami. Włóczęga, robotnik sezonowy, a czasem zubożały do cna farmer, który dochodzi do wniosku, że gdzieś, gdzie zatrzymują się jeszcze pociągi, musi być jednak lepiej.

Sabina nie jest wyjątkowa – minąłem kilka podobnych osiedli i dziesiątki innych, wymarłych. Dlaczego zostałem? Może brakowało mi już sił, żeby nie zostać.

\*\*\*

Wszedłem do restauracji, żeby coś zjeść i zamówić na jutro śniadanie dla mnie i dla więźnia. Zdezelowany Wurlitzer odtwarzał jakiś chrypiący przebój sprzed pięćdziesięciu lat kolejnego martwego artysty. Tego poznałem od razu – Bruce Springsteen czy jakoś tak. Trudno ich nie rozpoznawać, skoro w całej Sabinie jest około czterdziestu płyt. Czekam tylko na to, kiedy wreszcie ktoś rozwali szafę grającą po tysięcznym wysłuchaniu *Twist In My Sobriety* Tanity Tikaram. Chyba go nawet nie aresztują.

Podszedłem do długiego baru i zamówiłem danie dnia i dwa razy jajecznicę z parówkami na rano do biura. Normalnie zamówiłbym jeszcze jedną porcję, ale mój zastępca, Dawid, w sumie łebski facet, postrzelił się w nogę. Nie zapiął kabury i kiedy rano ubierał się do pracy, broń upadła na podłogę i wystrzeliła. Kula wyorała mu bruzdę w udzie, o dłoń minęła głowę i przeleciała przez sufit, sypialnię jego córki, by ugrzęznąć w gontach dachu.

Kiedy odwiedziłem go wczoraj w jego domu, leżał w łóżku i czytał „Playboya” sprzed piętnastu lat.

– Wyobraź sobie: huk, ja na podłodze krwawię jak świnia i nie mogę z siebie głosu wydobyć, mała na górze drze się jak opętana... – opowiadał beznamiętnie. – A moja piękna nawet się nie obudziła.

Żona Dawida, która właśnie przyniosła dla mnie lemoniadę, a dla męża zimne piwo, zachichotała, jakby dawno nie słyszała zabawniejszej historii.

Mój Boże.

Kiedy wychodziłem, mrugnął do mnie i pogłodził tego ogromniastego gnata, którego powiesił na gałce łóżka, jakby w każdej chwili spodziewał się napadu bandytów.

– Ależ ma kopa, nie, Sykstus? Dobrze, że na dach nie spadła zestrzelona kaczka.

Mój Boże, po dwakroć.

Tak więc siedziałem, pochylony nad średnio wysmażonym „Specjałem Szefa”, i rozpaczliwie szukałem w głowie jakichś zastępczych myśli, nie dotyczących Gekona i całej reszty. Na próżno. Owszem, był bandytą. Rabował, zabił co najmniej pięciu ludzi, palił domy. To szczególnie ciężkie przestępstwo wobec obywateli, którzy ledwo poskładali swój mały świat z ocalałych resztek i drżą z niepokoju, starając się go utrzymać w całości. Bez dwóch zdań, zasłużył na śmierć. Ale ja nie chciałem go zabijać. Nie mogłem zabijać.

Zostawiłem prawie nietknięty stek, wsunąłem banknot pod talerz i wstałem. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z ukradkowych spojrzeń, jakimi mierzyło mnie kilku nielicznych o tej porze klientów. A więc już się rozniosło. Skinąłem głową Lorrie za barem i wyszedłem, spoglądając na zegarek. Zbliżała się jedenasta, miasto już spało. Wolnym krokiem dotarłem do budynku więzienia, będącego jednocześnie moim biurem i domem, nie spotykając żywej duszy. Od pustyni wiał lekki wiatr, niosąc coraz więcej drobnego piasku, który pewnego dnia pogrzebie całe miasto. Jeśli o mnie chodzi, mogło się to stać nawet i dziś w nocy.

\*\*\*

– Szlachetny Sykstus Dannon, stróż prawa i porządku! – Przywitał mnie od progu szyderczy głos więźnia. Stał w rogu celi i z głośnym chlupotem odlewał się właśnie do kibla.

Usiadłem za biurkiem i sięgnąłem po doszczętnie zaczytany kryminał. Jedną z tych książek, które czyta się gdziekolwiek i zostawia w tym samym miejscu dla następnego gościa. Trafia się na nie w hotelach, poczekalniach, na dworcach. Są dobre dla zabicia czasu, ale niewarte zabrania ich ze sobą. Moją znalazłem w jednym z opuszczonych baraków dla robotników naftowych.

– Jak myślisz, łapsie, czy kiedy mnie już zabijesz, kiedy przywrócisz im błogie poczucie bezpieczeństwa, nadal będą cię uwielbiać? Nie sądzę. – Gekon splunął do muszli, spuścił wodę i pokuśtykał w stronę pryczy. Z westchnieniem wyciągnął się na wznak. Oddychał ciężko, czoło świeciło mu od potu.

Przewracałem lekko poźółkłe kartki, szukając miejsca, gdzie wczoraj skończyłem czytać. Nie miałem ochoty na pogaduszki. Gekonowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, trudno zresztą mu się dziwić. Pierdel w Sabinie nie dostarczał zbyt wielu rozrywek.

– Raczej staniesz się pariasem, będą szeptać za twoimi plecami, te małe szczury. Bo to są szczury, panie Dannon, będą tobą pogardzać i bać się ciebie, nie za to, że zabiłeś człowieka, nawet tak strasznego bandziora, za jakiego mnie uważają, ale za to, że zrobiłeś coś, na co oni mieliby ogromną ochotę, ale się boją, banda tchórzliwych gnojków.

Niemal wypluł ostatnie zdanie. Nie podnosząc wzroku znad książki, rzuciłem od niechcenia:

– Te gnojki by cię zatłukły, gdybym im na to pozwolił.

– Bzdura! – Aż się poderwał na sienniku. – Spuścili mi łomot, kiedy czołgałem się ranny i bez nabożów. Myśleli, że straciłem pazury, ale zanim się zjawiłeś, opróżniony majestatem prawa, właśnie jednego pomacałem nożem. – Zaśmiał się i rozkaszał. – I co? Twoi obywatele zobaczyli trochę juchy i odskoczyli. Odeszła ich chęć mordy.

Jasona Muddocka pochowano wczoraj na jego farmie, ale nie uznałem za stosowne informować o tym Gekona. Lubiłem Jasona, wielkiego, spokojnego faceta. Miał lichą ziemię i co roku z trudem wyciskał z niej chude plony, ledwo wystarczające dla niego i jego milczącej żony. Nie mieli dzieci. Zapropo nowałem mu kiedyś posadę zastępcy, ale odmówił.

– Za spokojny ze mnie facet, szefie. Nie lubię kłopotów. – I roześmiał się wstydliwie, jakby to przynosiło mu ujmę.

Pomyślałem, że szkoda, że nie wziął tej roboty. Kiedy grupa mieszkańców osaczyła Gekona w jednej ze stodół za miastem, byłby ze mną w biurze, a jego żona nie zostałaby wdową.

\*\*\*

Mały Billy Mitnick wpadł do biura z takim impetem, że prawie mnie przewrócił. Właśnie szedłem do drzwi, dojadając kanpkę ze śniadania, i miałem zamiar odbębnić mały patrol, żeby pokazać mieszkańcom, jak sumiennie wykonuję swoje obowiązki, nie marnując pieniędzy podatników.

Gówniarz był spocony i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu, z trudem łapiąc oddech. Kucnąłem przed nim i silnie potrząsałem za ramiona, w ostatniej chwili powstrzymując się, żeby nie przyłożyć mu w twarz dla otrzeźwienia.

– Co się stało!?

– Mają go...! – wyzapał z trudem.

– Kogo?

– Gekona! Złapali Gekona, szefie. Jest w stodole pana Corcorana. Mary poszła tam po siano dla krowy i...

Nie czekałem, aż skończy. W biegu sprawdzając magazynek dziewiątki, wskoczyłem na siodło i, modląc się, żeby żaden dzieciak nie wybiegł pod kopyta Rosie, pognałem na farmę Corcorana, podnosząc tuman szarego kurzu Sabiny.

\*\*\*

Gekon wyciągnął się z powrotem na pryczy i przymknął oczy.

– Ale ty nie dałbyś spokoju, co, szefie? Nie wyglądasz mi na takiego, który się boi odrobiny juchy. Nawet własnej.

Nie odpowiedziałem.

– No, to będziesz miał okazję znów popatrzeć na krew. Bo oni nie pozwolą ci mnie nie zabić.

Zapaliłem papierosa, zebrałem końcem języka drobiny tytoniu z warg i powiedziałem, patrząc mu prosto w twarz:

– To jest wyrok. A ty na niego zasłużyłeś. Jeśli wolisz tak o tym myśleć, to była gra. Przegrałeś. Zero. Przez chwilę spoglądał na mnie w milczeniu. A potem się roześmiał. Oczy świeciły mu od pigulek.

– Brawo, szefie. Brawo! Niech cię kule... Gra! Jak diabli!

Otarł zażawione ze śmiechu oczy i kiwnął głową, przyzywając mnie poufale do krat celi, jakby zapraszał starego kumpla na kufelek jasnego. Podszedłem, pamiętając o przepisowej odległości, mimo że więzień leżał na pryczy i wiedziałem, że już tylko kuśtyka, i to z trudem.

– Powiedz mi, łapsie... Czy nigdy nie miałeś ochoty rozwalić łba któremuś z tych gnojników? Któremuś z tych jęczących marudów, zwracających ci dupę z byle powodu, drobnych pijaczków, farmerów, piejących o swoich prawach, kiedy czyjaś krowa zeżre im trochę trawy z pola? – Mówił coraz szybciej, z rosnącą wściekłością. – A wiesz, co robią potem? Wracają do swoich ruder i pieprzą swoje córki. Zastanawiają się, jaką świnię podłożyć sąsiadowi, bo ma lepsze plony, oczywiście po tym, jak już zleją swoją starą. Ile widziałeś w tym mieście posiniaczonych kobiet, szefie? Tacy oni są, ci twoi obywatele.

Nawet z tej odległości czułem smród choroby, zjadającej go pomału. Zastanawiałem się, czy zdąży go zabić, zanim ja będę musiał to zrobić.

– Dobranoc, Gekon. Gasimy światło.

Uśmiechnął się pogardliwie i bez słowa odwrócił do ściany. Pstryknąłem wyłącznikiem i całą izbę ogarnął mrok, ledwie rozpraszany płomieniami znad szybów i dogorywającym wspomnieniem słońca, schowanego już za górami.

W biurze było gorąco jak w piecu, wolałem rozłożyć sobie pośłanie na ganku. Poszedłem na piętro po koc i poduszkę. Kiedy wracałem, mijając celę, doleciało mnie zaspane mamrotanie.

– Tacy właśnie są, łapsie. Widać to w ich oczach, gdy mają umrzeć. Tacy właśnie są.

Nie zatrzymując się, rzuciłem przez ramię, nienawidząc się za to:

– Ciekawe, co będzie w twoich oczach, Gekon.

Odpowiedziało mi chrapanie więźnia.

Cała Sabina już spała, śniąc swój urywany, niespokojny majak. Rozłożyłem koc na zapiaszczonych deskach i wysikałem się za rogiem więzienia. Skręciłem papierosa i po krótkiej wewnętrznej walce zakradłem się na palcach do biurka po butelkę. Gekon powiedział coś niewyraźnie przez sen i przewrócił się na drugi bok, a ja zamarłem na moment, zanim powoli otworzyłem szufladę. Chwilę potem, paląc i popijając prosto z gwinta, patrzyłem w gwiazdy nad wiecznie płonąca pochodnią jednego z ostatnich szybów na polu naftowym za miastem. Zastanawiałem się, co się stanie, kiedy w końcu zgaśnie tak jak inne, których czarne szkielety sterczały wśród piasków. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że będzie lepiej widać gwiazdy, i uspokoiony zasnąłem z pustą butelką w ciągle zaciśniętej dłoni.

\*\*\*

Szarpnąłem z całej siły za cugle, koń zakwiczął boleśnie i zarył kopytami w miejscu. Zeskoczyłem z siodła i przepaszczając poklepałem Rosie po szyi, jednocześnie wyciągając broń. Wrota stodoły były rozwarte na oścież, z wnętrza dolatywał gwar i odgłosy bójki. Nagle ponad ciżbę głosów wzbił się wysoki krzyk, bardziej zaskoczenia niż bólu czy przestachu, i zrozumiałem, że dla kogoś jest już za późno.

We wrotach stanął Muddock, mrugał, jakby oślepiło go słońce. Szeroko rozczapierzoną dłoń przyciskał do brzucha, opiętego spranymi roboczymi spodniami o szerokich szelkach. Widziałem, jak materiał ciemnieje, a między palcami przeciekają wąskie strużki jasno-czerwonej krwi. Jason oparł się o nieheblowane wrota i osunął po nich, ciężko waląc tyłkiem o ziemię. Kiedy go mijałem, nie mrugał już, a w oczach zastygł mu wyraz zdziwienia.

W stodole panował półmrok, przecinany złotymi smugami słońca, wpadającego przez szpary w ścianach, w których wirowały złociste drobiny kurzu. Pachniało zeszłorocznym zbożem, potem i wściekłością. Ośmiu ludzi stało w nieregularnym półkolu, oddychając ciężko i wpatrując się z nienawiścią w dziewiątego, pełznącego po klepisku. Gekon czołgał się z okrwawioną twarzą w stronę narożnika budynku, szukając osłony dla pleców. Nie spuszczał wzroku z prześladowców, szczerząc zęby w grymasie wysiłku czy też może pogardy. W rękę trzymał okrwawiony nóż. Mężczyźni rozstąpili się, przepuszczając mnie. Bandyta dotarł do ściany i oparł się o nią ciężko.

– Jorge Santi, aresztuję cię w imieniu prawa, nadanego mi przez wolne miasto Sabina, za zabójstwa, gwałty, podpalenia i kradzież koni, pojazdów i dobytku. Rzuć broń.

Gekon popatrzył na mnie z niedowierzaniem, podobnie jak mężczyźni z miasta. Nie spuszczał wzroku z pistoletu, wolno wyciągnął przed siebie rękę z nożem i upuścił go na ziemię.

Usłyszałem za sobą poruszenie, kiedy jacyś nadgorliwcy ruszyli w jego stronę.

– Stać! – krzyknąłem głośniejsz niż to było potrzebne. – Nie dopuszczę tu do żadnych samosądów. Zabieram go do więzienia.

Za plecami usłyszałem kilka niechętnych pomruków, ale nie odwracałem głowy, trzymając rannego na muszce. Lewą ręką odpiąłem od pasa kajdanki i rzuciłem na ziemię przed Gekonem.

– Załóż je.

Na ramieniu poczułem czyjąś rękę.

– Sykstus, co ty wyprawiasz? – To Marty Soderbergh, sąsiad Corcoranów. Aresztowałem go kiedyś za zabicie po pijaku lustra w „Kaczanie”.

– A jak ci się wydaje? – powiedziałem spokojnie, patrząc, jak Gekon zakłada sobie bransoletki, popatrując czujnie to na mnie, to na swoich niedoszłych oprawców. – Aresztuję go. I zabierz tę rękę, Marty, albo skuję cię razem z nim...

Któryś z mężczyzn za mną prychnął z niedowierzaniem, któryś zaklął. Nie mogli w to uwierzyć. Schowałem pistolet do kabury, jeden z nielicznych strzelających gnatów w mieście. Nie miałem złudzeń: gdyby którykolwiek z nich miał prawdziwą broń, Gekon nie doczekałby mojego przyjazdu. A teraz rozwiewała się nawet nadzieja na swojski stryzynek, przerzucony przez belkę przy suficie. Trudno się dziwić ich rozczerowaniu.

Podszedłem do bandyty, uważając na jego wyciągnięte na klepisku nogi w wyświechtanych, skórzanych spodniach. Lewa nogawka pociemniała od zakrzepłej krwi, widziałem zresztą, jak włókł za sobą nogę, czołgając się, ale ostrożności nigdy za wiele. Tylko tego mi było potrzebna, żebym związał się na ziemi, trzymając za puchnące jaja, przy akompaniamencie szyderczego rechotu Gekona. Sądząc po nastroju facetów z miasta, kilku pewnie by mu zawtórowało. Chwyliłem go za kołnierz i pomogłem wstać. Zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Lekko popchnąłem go w stronę wyjścia i dałem głową znak, żeby się rozstąpili. Bez słowa przeszliśmy pod szpalerem nienawistnych spojrzeń.

\*\*\*

– Jak tam bandzior, Sykstusie? – zapytał niby od niechcienia burmistrz, zajęty nalewaniem dwóch kieliszków sherry.

– Spokojny. Pilnuje go Dawid.

– To bardzo dobrze... – Podał mi kieliszek i z sapnięciem usiadł w fotelu za biurkiem. Czekał na dalszy ciąg, gapiłem się na spłowiały sztandar, smętnie zwisający w rogu gabinetu.

– Otóż... Chciałbym z tobą pomówić w pewnej sprawie.

Udałem uprzejme zainteresowanie.

– Wiesz dobrze, kogo złapałeś... Ile zła uczynił, nie tylko tu, w naszym okręgu, ale też w Caspiar i Małym Kącie...

Pokiwałem głową i zamieszałem sherry w kieliszku. Chciałem wracać na posterunek. Dawid, kiedy wychodziłem, miał taki wzrok, jakbym zamykał go za karę z wściekłym psem w jednym pokoju. I musiałem jeszcze po drodze odwiedzić doktora.

Burmistrz Bostrom jakby zauważył, że błędzę gdzieś myślami, przestał bawić się drobiazgami zaśmiecającymi szeroki blat biurka.

– Ten człowiek musi umrzeć, szefie Dannon.

– I niewiele mu brakuje. – Wypiłem od razu całą zawartość kieliszka. – Jego kumple przestrelili mi nogę trzy dni temu. Pokłócili się o kwestie przywódcze, jak sam to ujął. Tylko dlatego dopadli go wczoraj w stodole. Myślę, że to gangrena, więc zajdę jeszcze do doktora...

Przerwałem. Teraz to Bostrom nie słuchał.

– ...może coś zaradzi i Gekon doczeka przyjazdu sędziego...

Ale mówiłem coraz ciszej, bo dotarło do mnie, co będę musiał zrobić.

Drzwi otwarły się bezszelestnie i do gabinetu wszedł Beau Tippit, zastępca Bostroma i właściciel największej stadniny w Sabinie. Stał przy oknie plecami do mnie i burmistrza, studiującego z uwagą wzory laminatu na suficie, i zapytał:

– Kiedy ostatnio widziałeś w Sabinie sędziego, Sykstusie?

Ciekawe, ile czasu podsłuchiwał za drzwiami.

– Ostatnio nie było potrzeby, żeby wzywać...

– Albo posłańca?

Milczałem.

– Wysłaliśmy trzy tygodnie temu depezę z prośbą o uaktualnienie rozkładu jazdy towarowców. Nikt nie odpowiedział. Musimy sami o siebie zadbać. W każdej kwestii.

– To może ty wykażesz się obywatelską postawą, Beau?

Tippit odwrócił się gwałtownie, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się wreszcie ojciec naszego miasta.

– Ile lat jesteś tu stróżem prawa, Dannon? – mówił cicho i spokojnie. – Trzy? Cztery? A ja pamiętam, jakby to było wczoraj: dzień, w którym przyjechałeś do Sabiny. Obdarty i odwodniony, na niemal ślepej szkapie. Z pistoletem. Czy kiedykolwiek pytałeś cię, co robiłeś wcześniej? Po czyjej stronie walczyłeś w czasie wojny? Gdzie mieszkałeś, jak zarabiałeś na chleb? Skąd masz te blizny?

Tippit gapił się na mnie nieruchomo jak wąż, leciutko się uśmiechając. Bostrom umoczył usta w sherry i, nie czekając na moją odpowiedź, mówił dalej:

– Nie. Nie sprawdzaliśmy cię, powierzyliśmy ci z czasem nasze bezpieczeństwo, ponieważ, jak się okazało, możesz nam je zapewnić. Ale zaczynam w to wątpić. Nie wiem, czy postąpiliśmy słusznie, zaniedbując pewne procedury, prawda, Beau?

– Święte słowa, panie burmistrzu. Nie daje mi to spokoju od lat. – Tippit nie spuszczał ze mnie badawczego spojrzenia.

– Może jednak powinniśmy poprosić władze o opinię, czy szef Sykstus Dannon może pełnić funkcje publiczne. Czy jest człowiekiem o nieskalanej reputacji i przeszłości? Nie jesteśmy, co prawda, pępkiem świata, ale goniec powinien wrócić za jakiś tydzień, jeśli oczywiście ocalało coś z kartotek. Albo list werbunkowych.

Pochyliłem się do przodu w swoim fotelu, a Beau błyskawicznie sięgnął prawą ręką pod marynarkę. Wykrzywiłem usta, starając się zawrzeć w tym uśmiechu całą pogardę i nienawiść, jaka mnie wypełniała, podczas gdy Bostrom nalewał mi następną sherry do kieliszka, który mu podsunąłem.

– Kiedy?

– Damy ci znać, szefie, ale nie sądzę, żebyś musiał długo na to czekać. Nikt ci nie obiecywał, że będziesz tylko walił po łbie pijaków i szukał zbłąkanych krów. Nie udawaj cnotki, Dannon. Chcemy znów czuć się bezpiecznie w naszym mieście.

\*\*\*

– Nie przyjdę, szefie – powiedział cicho, ale z uporem doktorek. Wyglądał jak człowiek, który wypróbował każdy specyfik ze swojej apteki i ciągle nie znalazł lekarstwa na obstrukcję.

Nie spodziewałem się niczego innego, ale i tak zrobiło mi się ciężko na sercu. Lubiłem doktorka w tym jego podniszczonym garniturku, tkwiącego ciągle w dawnych czasach. W czasach recept i systemu opieki socjalnej, o której czasem wspominał dla żartu. Kiedyś zszywał mi rozcięty łuk brwiowy po tym, jak naćpany włóczęga zaprawił mnie butelką. Było to wtedy, kiedy jeszcze odwiedzał nas sędzia. Czynna napaść na funkcjonariusza prawa, posiadanie środków odurzających i wyrok – pięć lat w kopalniach Hillside, gdzie ciągle usiłują wybierać żałosne resztki węgla spomiędzy skał. Surowy wyrok jak za sześć szwów i kilka pigułek laudanum w kieszeni. Ćpun wyglądał na takiego, który nie wytrzyma nawet roku.

– Noga mu zaczyna gnici. Kula ciągle jest w ranie, a ja jej nie wyjmę.

Doktorek przetarł okulary i spojrzał mi w twarz z siłą, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałem.

– Ja też nie. Dla mnie może zdechnąć nawet dziś.

Szczupłe, starcze dłonie o długich palcach drżały mu po raz pierwszy, od kiedy pamiętam.

– Tak prędko to się nie stanie. Wiesz o tym lepiej niż ja, Hipokratesie.

Założyłem kapelusz i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Szefie!

Odwrociłem się w samą porę, żeby złapać brązową fiolkę z pigułkami.

– Jedna co trzy godziny, kiedy już naprawdę zacznie go boleć.

Skinąłem mu głową bez słowa i wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

Piłem, Gekon był na laudanum.

– Jak to się stanie, łapsie?

– Nie wiem, co wymyślą, chyba cię po prostu zastrzelę. Chyba że wolisz wisieć.

Pokiwał ciężką głową, jakby przetrawiał tę myśl.

– Ale umiesz zastrzelić człowieka? Strzelisz dobrze? – Akcentował każde słowo, celując końcówką papierosa trzymanego w rozchwianej ręce w moją twarz cztery metry za kratami. – To nie takie łatwe, dobrze zastrzelić człowieka. Każdy skurwiel myśli, że wystarczy wycelować i po ptakach. Widziałem takich, co... się ciągle ruszali... Śmierć nie chciała po nich przyjść. Z potrzaskanymi zębami, rozdarta gębą, ciągle się kręcili... jak taki miś, co mu nogi w kółko chodziły... W kapelusiku... – chichotał.

– Zrobię to najlepiej jak umiem. Nie martw się. Nic nie poczujesz, Gekon, mogę ci to obiecać, stary ćpunie. Martwy ćpunie.

– Ćpun zabity przez pijaka. Kiedy wreszcie oni cię zabiją?

Parsknąłem śmiechem.

– Nie wiem, Gekon, może jeszcze zanim zakopią ciebie. Tracę chyba na popularności.

Gekon mi zawtórował, śmiał się chrapliwie, ściskając spuchniętą nogę w pachwinie, jakby próbował utrzymać w niej ból promieniujący na całe ciało.

Pośmialiśmy się jeszcze przez chwilę, coraz ciszej. Po chwili milczenia odezwał się:

– Wiem, że dobrze strzelisz. Widziałem już taką broń i takie oczy jak twoje. Mnie nie zwiedzisz, panie stróżu prawa i porządku. Możesz sobie zdejmować kotki z drzew i upominać pijaczków.

Wzruszyłem ramionami, jakbym nie miał pojęcia, o czym mówi, i pociągnąłem długi łyk prosto z butelki. Bardzo długi.

Gekon wyciągnął w moją stronę rękę i kiwnął głową w stronę zapatek leżących na biurku. Rzuciłem mu je. Całe pudełko. Nie złapał, uderzyło go w czoło i spadło na podłogę, skąd podniósł je z wysiłkiem, klnąc na swoją słabość. Wstałem, starając się nie zatoczyć, i sięgnąłem do kontaktu.

– Chcesz księdza? Nie wiem, czy Marsh przyjdzie, ale...

– Daj spokój, łapsie. Wyśpij się, wolałbym, żebyś trafił za pierwszym razem.

– To ci mogę obiecać.

– Zostaw mi jeszcze jedną pigułkę, boli jak skurwysyn.

– Brałeś dwie przed godziną. – Zgasilem światło i wyszedłem przed biuro.

Po pół godzinie wróciłem i z pijacką ostrożnością wsunąłem na otwartej dłoni małą, białą tabletkę między pręty. Lepka i gorąca ręka chwyciła mnie za nadgarstek, a palce drugiej gorączkowo pochwyciły pigułkę. Dłoń wzmocniła na chwilę uścisk, po czym cofnęła się w ciemność, zostawiając mnie klęczącego przed kratami.

\*\*\*

Więzielnik leżał nieruchomo na prycy, osłaniając oczy skrawkiem koca. Zobaczyłem stojącą na blacie butelkę z resztką gorzalki, dopiłem ją więc na śniadanie i podszedłem do drzwi celi, szukając w kieszeni klucza. Zamek szczęknął dwukrotnie, ale Gekon się nie poruszył. Przystanąłem nad pryczą, z trudem oddychając w narastającym upale, potęgującym słodkawy odór choroby, i potrząsnąłem go za ramię. Ręka bandyty zsunęła się bezwładnie z posłania, uderzając mnie w kolano.

Stałem nieruchomo nad wąskim łóżkiem, nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu. Zdechł. Kojfnął. Strzelił kopytami. Odetchnąłem głęboko smrodem celi i podjąłem decyzję. Dziś jeszcze będę pił, od rana. Jutro wyjeżdżam, obojętnie, co się będzie działo. Może do Nil? Słyszałem, że to dobre miasto. Daleko i nie utrzymuje kontaktów z Władzami. To dobry plan...

– To ty, łapsie?

Zadrzałem.

– Ja.

– Zdaje się, że będziesz musiał mi pomóc. Nie wstanę sam. I chyba się zeszcząłem do wyra – mówił niewyraźnie, z trudem.

– Nie ma sprawy, Gekon.

Wywlokłem go z biura, ciężko wiszącego na moim ramieniu. Czułem bijącą od niego gorączkę. Posadziłem delikatnie na swoim kocu, rozłożonym na ganku, luźno zacisnąłem kajdanki na rękach i poszedłem do stajni po Rosie i muła, którego Dave nazywał Slick. Przegoniłem kilku gówniarzy, którzy zamiast niecierpliwie wiercić tyłkami na kościelnych ławkach, woleli raczej zobaczyć wszystko od początku. Mieli łapska ubrudzone końskim łajnem, które zbierali, żeby rzucać nim w skazańca.

Osiadłem obydwa zwierzęta, po czym oparłem się zdyszany o ścianę stajni, czując na wargach słony pot przepicia. Żołądek skręcił mi się w bolesny kłębek i zwymiotowałem prosto na ziemię.

Muła targnął się nerwowo, kiedy resztkami sił wsadziłem mu na grzbiet na wpół przytomnego Gekona. Bandyta kiwnął się w siodle, oparł czoło o kark zwierzęcia, ale nie spadł. Trzymając cugle muła w dłoni, wskoczyłem na siodło Rosie i powoli pojechaliśmy w stronę pagórka za miasteczkiem. Już z tej odległości widziałem niewielki tłumek, zgromadzony wokół uschniętego drzewa, jedyne z resztą w całej okolicy. Przypomniałem sobie, że kiedyś wisiała tam stara opona, na której huštały się dzieciaki. Ciekawe, czy dalej będą to robiły. Chyba tak, dzieci fascynują takie sprawy, tylko zmieniają zabawę na „wisielca”.

Gekon kiwał się bezwładnie na siodle. Mimo upału muchy obsiadały gęsto muła i jego. Kłębiły się wokół zrudziałych smug na spodniach, tłuste i czarne. Żałowałem zapomnianej w biurze butelki.

Strzyżek kołysał się na wietrze, przerzucony przez suchy konar, wskazujący miasteczko niczym poszarpany kikut. Na wzgórzu czekał już Bostrom z Tippitem, otoczeni gromadą milczących mieszkańców.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, Marty Soderbergh właśnie podstawił pod pętlę kulawego krzesła. Musiał nieść je ze sobą aż z miasteczka. Tuż obok czerniał byle jak wykopany, płytki dół, do którego z szelestem wsypywały się strużki suchego piasku. Było bardzo cicho.

Nie widziałem nigdzie doktora, ale przykuśtykał Dawid, wsparty na drewnianej kuli, z wytłuszczoną chyba specjalnie na tę okazję odznaką, przypiętą krzywo do koszuli. Oczywiście z pistoletem, który kilka dni temu omal nie zabił jego samego i jego pięcioletniego dziecka. Kiedy popatrzyłem mu w twarz, spuścił wzrok i lekko odwrócił głowę, jakby się bał, że w ostatniej chwili każe mu pomóc w egzekucji. Inni również unikali mojego wzroku, gdy rozglądałem się po zebranych. Nie ominąłem ani jednej twarzy. Tippit wyglądał na lekko znudzonego i zmęczonego upałem, burmistrz natomiast wiercił się, jakby nie mógł się doczekać, trzymał w jednej ręce zmięty kawałek papieru, pewnie naskrobane przed chwilą uzasadnienie wyroku. Jakby dla dodania sobie powagi zapiął nisko na biodrach pas ze starym sześciostrzałowcem. Proszę, proszę, nie wiedziałem nawet, że ma broń, nie podał jej w wykazie, kiedy obejmowałem tę wspaniałą posadę. Marsh, otoczony stadkiem dobrych parafian, mamrotał jakąś modlitwę, wznosząc co rusz oczy ku niebu i przecierając pociągłą twarz chusteczką. Zeskoczyłem z siodła i zaplątałem byle jak cugle Rosie wokół żółtawego cyprysa. Muł był niespokojny, przerażał go odór śmierci, którą niósł na grzbiecie. Pogłaskałem go delikatnie po pysku.

Bostrom chrząknął, wystąpił przed innych i zaczął dukać z kartki:

– Jorge Santi...

Gekon usłyszał swoje nazwisko i nieprzytomnie rozejrzał się wokół, szukając osoby, która je wypowiedziała.

– Jorge Santi, znany również jako Gekon, za twoje zbrodnie, których popełniłeś bez liku, takie jak morderstwo kupca Prestona Hoggartha, popełnione dwudziestego siódmego maja...

Drżąc od wczorajszego pijaństwa ręką skręciłem sobie papierosa, starając się powstrzymać ogarniające mnie mdłości.

– Napad na farmę „Promyk” i kradzież pięćdziesięciu krów oraz podpalenie...

Tippit podłubał małym palcem w nosie i z zainteresowaniem przyjrzał się zdobyczy. Kilka matron z miasteczka ze zgrozą i nabożnym lękiem spoglądało na ledwo trzymającego się w siodle bandytę.

– Deprawację małoletniej w okręgu Caspiar...

Gekon prychnął lekko śmiechem, a przez tłumek przetoczyło się pełne oburzenia westchnienie.

– Zabójstwo szefa porządku publicznego i łowcy nagród w Małym Kącie, rabunek...

Gekon nieznacznie drgnął w siodle, kiedy jego wzrok wreszcie zogniskował się na stryczku. Patrzył przez chwilę na pętlę, na twarze zebranych ludzi. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

– Prawem nadanym mi w głosowaniu przez obywateli Wolnego Miasta Sabina skazuję cię, Jorge Santi, na śmierć przez powieszenie, dopóki nie umrzesz. Niech Bóg Wszechmogący litościwie zmiłuje się nad twoją duszą.

– Amen – dorzucił Marsh.

Tippit podszedł do burmistrza i przez chwilę coś mu szeptał na ucho. Bostrom zmierzył wzrokiem Gekona i pokiwał głową.

– Słusznie. Marty, zabierz to krzesło, nie ustoi na nim. Powiesimy go prosto z siodła.

Ludzie zaszemrali, Marty, czerwony na twarzy, ponieważ wszyscy się na niego gapili, poczłapał pod stryczek, a ja powoli wyciągnąłem broń. I, wiercie mi, Gekon się uśmiechnął.

Huk wystrzału chlasnął wszystkich po uszach, kilka kobiet krzyknęło wysoko, zakwiczął przestraszony koń. Marty przykucnął jak żaba, wypuszczając z rąk krzesło i zasłaniając głowę rękami.

Bandyta przechylił się wolno w siodle i spadł z wyprężonymi, skutymi na plecach rękami. Zarył twarzą w ziemię, zastygając nieruchomo. Wiatr poruszał jego ciemnymi włosami, wokół głowy wolno rosła czerwona aureola rudziejącego piachu.

\*\*\*

Bostrom wyglądał jakby miał zaraz dostać zawału. Poczzerwieniał na twarzy, żyły nabrzmiały mu na masywnym karku. Zaczął wolno iść w moją stronę.

– Ty... Tyyy... Coś ty zrobił?! – wykrzyczał histerycznym dyszkantem.

Schowałem pistolet do kabury i zacząłem skręcać następnego papierosa.

– Zabiłem bandziora. Tak jak chcieliście. I lepiej niech pan zostanie tam, gdzie pan jest, burmistrzu. Podejść teraz do mnie to zły pomysł. Beau, przestań gmerać przy kaburze.

Tippit popatrzył na mnie z nienawiścią i opuścił rękę.

Inni zamarli, nie wiedząc za bardzo, co zrobić. Wielebny Marsh schylił się wolno po Biblię, którą wypuścił, kiedy padł strzał.

Bostrom widać doszedł do siebie, bo zatrzymał się i wycedził wolno:

– To się tak nie skończy, Dannon. Możesz być tego pewien. Dawid, aresztuj go!

Mój zastępca wydawał się jeszcze bardziej zszokowany niż reszta.

– Ale za co, panie Bostrom?

– Za to, że ci, kurwa twoja mać, każe. Albo możesz od razu wynosić się z tego miasta!

– Nie mieszaj go w to, Bostrom. Sam mnie aresztuj, jeśli masz na to ochotę.

Dawid niepewnie rozejrzał się wokół, ale ludzie odsunęli się od niego. Żona coś gorączkowo mu tłumaczyła, zastąpiła mu drogę, ale odepchnął ją i sięgnął po pistolet.

– Dawidzie, nie rób tego.

Popatrzył na mnie i nerwowo oblizał wargi.

– Muszę, szefie.

– Dawid, na Boga...

– Nie mogę, szefie... – Wyciągnął broń pewnym, szybkim ruchem, którego sam go nauczyłem.

Nie usłyszałem wystrzału. Jakby ktoś smagnął mnie bykowcem w skroń, białe światło wybuchło mi przed oczami, oślepiając. Skurwysyn Tippit, nie trzeba było spuszczać go z oka...

Skuliłem się, w obrocie sięgając do kabury pod pachą, i wystrzeliłem trzy razy niemal na oślep. Pierwsza kula wbiła niewielką fontannę piasku przy jego butach, druga prawie wyłamała w tył nogę w kolanie, a ostatnia urwała dolną szczękę. Beau stał przez chwilę nieruchomo, szczerząc resztki zębów sterczące z potwornej maski, w jaką zmieniła się jego twarz, po czym zagulgotał w strasznej parodii krzyku i upadł, wypuszczając rewolwer.

Ludzie krzyczeli, rozbiegli się na wszystkie strony, potykając się i przepychając. Lorrie z baru wyładowała na trupie Gekona i zakrzyczała jeszcze głośniejszym głosem, podnosząc do oczu upaprane czerwonym błotem ręce. Bostrom z szybkością, której się po nim nie spodziewałem, schował się za pnem i zaczął strzelać. Nerwowo, sześć razy, jeden za drugim.

– Pudło – powiedziałem i podniosłem pistolet.

\*\*\*

Dawid stał z wycelowaną bronią w drżącej ręce. Podszedłem do niego i wyjąłem gnata z zaciśniętych palców. Jego żona, jedna z nielicznych, którzy pozostali, łkała spazmatycznie, siedząc w kurzu i zasłaniając uszy dłońmi zaciśniętymi w pięści. Odpiąłem swoją odznakę i włożyłem ją do kieszeni koszuli Dawida, który na przemian otwierał i zamykał usta, jakby chciał powiedzieć coś bardzo ważnego, co nie może mu przejść przez gardło. Odwiązałem muła i klepnąłem go w zad. Potruchtał w stronę miasta w ślad za wszystkimi. Rosie łypała na mnie nerwowo, czując krew ciekącą mi ze skroni za kołnierz, ale pozwoliła się poprowadzić za cugle. Przystąpiła ostrożnie nad zwłokami bandyty, jakby bała się go nadepnąć.

Bostrom jeszcze żył. Poszarpana kulami, kiedyś nieskazitelnie czysta koszula unosiła się nieregularnie na piersi. Patrzył w białe od upału niebo, wbijając zakrzywione palce w piasek, jakby obawiał się, że oderwie się od ziemi i wpadnie prosto w jego bezmiar.

– Bydlaku... – wyrzeźił, kiedy stanąłem nad nim. Krwawa bańka wypłynęła mu na usta i pękła, pryskając drobkami krwi na pobielające policzki. – Zabiłeś... mnie... bydlaku...

Przyłożyłem mu lufę do czoła.

– Poniekąd, burmistrzu, trudno mi się powstrzymać, kiedy już zacznę.

Otworzył szerzej zachodzące mgłą oczy, jakby zobaczył jakąś wielką prawdę, coś, co widzi się tylko w tej jednej chwili, a ja pociągnąłem za spust.

\*\*\*

Wielebny Marsh stał nieruchomo, a płynące łyzy złobiły jasne ścieżki na jego wysuszonej, ascetycznej twarzy. Kiedy go mijałem, wyszeptał:

– Coś ty zrobił, Sykstusie...? Coś ty zrobił...?

– Pokazałem wam śmierć, przecież po to przyszliście.

W zaciśniętych palcach trzymał małą, czarną Biblię, zasłaniając nią pierś jak tarczą. Wskoczyłem na siodło i spojrzałem na południe.

– Masz może zapalniczki? Długa droga przede mną. Zmówisz też pacierz za bandytę? – Kiwnąłem głową w stronę trupa Gekona.

Podniósł oczy i z drżącym podbródkiem powiedział:

– Spłoniesz w piekle. O to będę się modlił na pewno.

Sabina, małe, samotne miasto, które było moim domem przez ostatnie trzy lata, momentami ginęła za tumanami kurzu, gnany przez suchy, upalny wiatr.

– Nie ustawaj w wierze, padre.

Delikatnie szturchnąłem konia ostrogą i ruszyłem w stronę gór, majaczących na horyzoncie.